TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 17. *Chicago, Ills., 21 Października, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVI.

Trzeba jechać koniecznie — Gdzie? — Jechać do wody,
Służyła ona przedtem tylko do ochłody.
Teraz większa usługa,—Jaka? Żyć nie można,
Jeśli pilność o zdrowie, czuła a ostrożna,
Nie zapędzi tam, gdzie jest saletra i siarka.....

Krasicki. Sat.

Po skończonym sejmie opuścił dwór Wilanów, i częścią w Żółkwi częścią we Lwowie zimę przepędził. Wojska wyszły na nieszczęśliwą wyprawę bukowińską; a król chorobą złożony zdał dowództwo hetmanowi Jabłonowskiemu, którego waleczność i wytrwałość, wsparta odwagą i zdolnością Kąckiego, jenerała artyleryi, zdołała ocalić wojsko w najniebezpieczniejszym razie.

W następnym 1686 roku, cesarz Leopold, chcąc się zbliżyć z dworem polskim, w którym

słuszną niechęć przez odmówienie swej córki królewiczowi wzbudził, ofiarował królowi wojsko posiłkowe do podbicia Multan i Wołoszczyzny, a namowy królowej i zręczne poduszczenia Woty nakłoniły Jana do podjęcia wyprawy, pozorem odzyskania Kamieńca usprawiedliwionej. Książę Jakób, który usiłował zyskać ufność narodu przez dowody waleczności, towarzyszył królowi w tej wyprawie.

Przez cały czas trwania tej długiej wojny, był dwór jakby osierocony, bez króla i królewicza. Marya zawsze wątłą nadzieją łudzona, nie doznawszy nic takiego, coby ją z błędu wyprowadzić mogło, smutne u dworu prowadziła życie; dla tego często bardzo z Żółkwi odwiedzała swoję ciotkę, i nawet za uzyskanem pozwoleniem kilka miesięcy w jej domu przepędziła. Najmilsze jej zawsze były rozmowy z podkomorzyną o dalszym losie swoim, w których zwierzała jej pod największą tajemnicą swoje uczucia i nadzieje, nie wiedząc o tem, iż prócz ciotki kto inny jeszcze jej myśli był powiernikiem. Często bardzo badała z trwogą: czyliby Ruszczyc nie miał jej w podejrzeniu o przychylność ku królewiczowi, lecz wierna danemu przyrzeczeniu podkomorzyna, starała się zawsze oddalić od niej wszelką obawę w tej mierze, i zaręczała, iż wiadoma pobudka była pierwszym powodem odłożenia związków małżeńskich, a wojny odtąd ciągle trwające nie dozwalały Ruszczycowi pomyśleć nawet o spełnieniu uczynionych ślubów.

— On się póty nie zgłosi — mówiła zwykle podkomorzyna, — póki trwały pokój nie nastanie, tak aby mógł raz na zawsze szablę na pług zamienić; tymczasem zaś zdarzyć się może sposobność przekonania się, jakie są zamysły królewicza.

Mondor z swojej strony próżno zawsze usiłował wszelkiemi sposobami zasłużyć sobie na przychylność Maryi, i byłby dawno odstąpił od swoich zamiarów, gdyby nim te tylko pobudki powodowały, dla których się z początku o powołanie jej do dworu starał. Widoki osiągnienia znacznego majątku i posiadania obok tego pięknej żony, dogadzały z razu chciwości i próżności jego; lecz bliższe poznanie Maryi, ciągłe przebywanie w jej towarzystwie, moc jej wdzięków i samo draźnienie przeciwieństwami, wzbudziły najżywszą namiętność w tym umyśle, który z razu samą tylko rachubą egoizmu był zajęty. Dawniej byłby się dał łatwo odstręczyć przeciwieństwami, teraz zaś wzmagała się jego wytrwałość, w miarę nawet że większe coraz przeszkody w osiągnieniu swego zamiaru spotykał. Znosił cierpliwie dowody niechęci i nawet wzgardy Maryi, byleby miał sposobność przebywania w jej towarzystwie; srożył się i gniewał, gdy go kto od próżnych zabiegów odwieść usiłował, i zazdrościł zapamiętale każdemu, choćby najmniejszej grzeczności ze strony Maryi; uprzejme słowo z ust jej do kogo innego wyrzeczone, najsroższem było dla niego udręczeniem. Myśl jego ciągle tem tylko zajęta była, jakby wstręt Maryi przezwyciężyć, i jakich użyć środków, aby ją sobie zniewolić, a nawet do oddania sobie ręki zmusić.

Powrót króla i królewicza z bezskutecznej wyprawy, ożywił nieco smutny pobyt u dworu; lecz i ta pociecha niedługo trwała, bo nowa wyprawa na wiosnę zapowiedziana, której dowództwo naczelne księciu Jakóbowi poruczone być miało, tak go bardzo zajmowała, iż mało mógł czasu zabawom poświęcić, gdyż go najwięcej na podróżach po różnych stanowiskach wojskowych i na ćwiczeniach wojennych trawił. Skwapliwość, z jaką się trudnił przygotowaniem do wojennego trudu, pocieszała Maryą, ilekroć ubolewała nad tem, iż go rzadko kiedy widzieć może; bo była dla niej zapowiednią tego bohaterskiego ducha, który w niej zawsze szlachetny zapał wzbudzał, i którym rada była królewicza ożywić.

Inna jeszcze okoliczność stała się przyczyną dłuższego rozstania się Maryi z królewiczem. Królowa od niejakiego czasu podlegała słabości zdrowia; przywołani lekarze niewielką ulgę jej cierpieniom przynieść zdołali; udano się przeto po radę do sławnego włoskiego doktora, który zalecił, aby królowa pojechała w następującej wiośnie do wód ciepłych, niedawno odkrytych we wsi Warmbrunn w Czechach. Ta rada przemogła nad wszelkie inne; król był jej przeciwny, gdyż mu przykro było rozstawać się na kilka miesięcy z ukochaną małżonką, i to jeszcze tak wkrótce po swoim powrocie z wojennej wyprawy. Lecz królowa nie chciała odstąpić od swego postanowienia, i ruszyła w Maju 1687 roku z Jaworowa w tę podróż z licznym bardzo dworem. Mondor użył pośrednictwa panów francuzkich, aby do tej podróży należał, z po-

wodu że Marya była w orszaku towarzyszek królowej.

Król z księciem Jakóbem towarzyszyli królowej aż do Rzeszowa, i ciągle obstawali za zmianą zamysłu dalszej podróży. Królewicz był bardzo uprzejmym dla Maryi przed wyjazdem i w ciągu podróży aż do miejsca, w którem się z nią miał rozstać, tak dalece, iż Marya z usilnie tajonym żalem Rzeszów opuściła, w którym książę pozostal. Odtąd tęskne jej uczucie wracało się zawsze ku niemu i szukało go bądź to u dworu, bądź wśród niebezpieczeństw nowej wyprawy, w której tenże książe objął dowództwo nad wojskiem w zastępstwie ojca, gdy temuż osłabione zdrowie tylko aż do zamku Jazłowieckiego wojsko odprowadzić dozwoliło.

Ponieważ już były przywrócone stosunki przyjacielskie z dworem austryackim, Cesarz przeto dowiedziawszy się o wyjeździe królowej, wysłał na granicę Szlązka barona Żurowskiego, ze zleceniem przyjęcia jej tamże w jego imieniu i towarzyszenia aż na miejsce, w celu uprzedzania wszelkich jej życzeń i potrzeb. Lecz królowa postanowiła uniknąć wszelkiego uroczystego przyjęcia, objechała miejsce w którem posłannik cesarski na nię czekał i przybyła do Wrocławia incognito, gdy się jej dopiero na granicy spodziewano. Przybyła ona tamże w towarzystwie siostry swojej Margrabiny de Bethune i starej wojewodziny kijowskiej, damy honorowej, której nazwisko przybrała. Znajdując upodobanie w ukryciu swego znaczenia, zaleciła Żurowskiemu, który, przybywszy za nią do Wrocławia, list cesarski jej doręczył, aby zachował tajemnicę jej bytności. Bawiła tym sposobem dni kilka w Wrocławiu i pod nazwiskiem wojewodziny kijowskiej bywała u kupców i w kościołach, w towarzystwie kilku dam honorowych, pomiędzy któremi nie można jej było rozpoznać, dla tego, że wszystkie przybrały między sobą powierzchowność zupełnej równości, i że żadnych względów pozornie przynajmniej dla niej nie okazywały. Dopiero gdy reszta dworu o milę od Wrocławia przybyła, wyjechała naprzeciw niemu królowa i w towarzystwie dworzan swoich, w obec licznie zgromadzonego pospólstwa, które naprzeciw niej z miasta wyszło, do onegoż wróciła. Udała się wprost do katedralnego kościoła, wysłuchała tamże mszy, obiadowała publicznie w palacu biskupa wrocławskiego, i następnie w towarzystwie dworu swego przez całe miasto przejechała, udając iż o milę ztamtąd nocować zamyśla; sama zaś w towarzystwie dam kilku do miasta wróciła. Dnia następnego dopiero puściła się w dalszą podróż z ojcem swoim i przybyła do Warmbrunn, gdzie jej właściciel tameczny hrabia Schafgotsch swojego pałacu na mieszkanie odstąpił.

Lubo poratowanie zdrowia było głównym celem pobytu królowej w tem miejscu, nie wiele wszelakoż o polepszenie onegoż dbała, poświęcając czas cały zabawom.

Z początku mało kto znajdował się w Warmbrunn; lecz gdy się wiadomość o przybyciu królowej rozeszła, zjechali się wkrótce najbogatsi panowie Szlązka, i dzieląc zabawy dworu polskiego, przesadzali się w uroczystościach i biesiadach, które dla królowej i innych dam polskich wyprawiali. Codziennie bywały koncerta w samem miejscu kąpieli, w czasie gdy ich królowa używała. Wieczory przepędzano zwykle na pokojach królewskich, trawiąc je późno w noc na tańcach i biesiadowaniu.

Marya, więcej strudzona jak uradowana temi ustawicznemi zabawami, korzystała z każdej chwili wolnej od usług lub rozrywek, aby się w samotności napawać pięknościami, któremi przyrodzenie tameczne okolice tak hojnie obdarzyło. Z okna mieszkania swego miała przed sobą owe sine pasmo gór, których nagie wierzchołki obłoki dźwigały. Nieraz, gdy jasny promień księżyca przebudził lekkim snem zdjętą, biegła do okna i oddychając świeżością pogodnej nocy, z uniesieniem patrzała na czarne szczyty, które zdawały się grozić spokojnej dolinie. To ją trwogą przejmował czarny obłok, który niebo z górami chciał zrównać, wszystko jedną ciemną pokrywając powłoką, to ją pocieszał łagodny promień księżyca, szczyty i rozpadliny gór gdzieniegdzie białą taśmą od przepaści odznaczający. Często w długiem zadumaniu stała w oknie i szukała w tych różnych widokach styczności z rozmaitemi kolejami życia ludzkiego; a przytem odnosząc wszystko do siebie samej, sięgała myślą do lat dziecinnych, do tak skromnych wówczas życzeń i nadziei swoich, a potem ze drzeniem wspominała na wzniosłość marzeń o przyszłej szczęśliwości. Takie bowiem myśli i wspomnienia wzbudzić musiał w umyśle widok owych wzniosłych gór olbrzymich, w porównaniu z błogiemi równinami Polski, na których jej oko niegdyś przestawało.

Z pomiędzy wszystkich gór okolicznych, najwięcej ją zawsze zajmował wierzchołek kopy śnieżnej, owe najwyższe stanowisko pasma gór szlązkich. Zwiedziła już była wszystkie inne, tak wesołe pagórki w półkolu równinę otaczające, jako i pamiętny ze zwalisk zamku Kynast, na którym nieubłagana Kunegunda niezręcznych zalotników z murów swojej warowni w bezdenne spychała przepaści. Lecz ten kończaty wierzchołek długo jeszcze śniegiem uwieńczony, po którego nagich kamieniach reszty stopionych od upału śniegów spływały, tak się dla towarzyszek Maryi zdawał niedostępny, iż pomimo nalegania i prośb swoich nie mogła jeszcze znaleźć takiej, z którąby trudy tej zajmującej podróży dzielić mogła. Mondor, który się starał uprzedzać wszelkie życzenia Maryi, napróżno łączył swoje prośby i ofiarował usługi wszelkie w tej podróży damom, któreby ją podjąć chciały. Dnia pewnego nakoniec przybył uradowany do Maryi z doniesieniem, że dwie panny honorowe francuzkie oświadczyły gotowość swoję do tej podróży. Przy tem ubolewając, iż sam nie może w tej wyprawie jej towarzyszyć, z powodu służby przy królowej, dodał: iż przez dwóch dworzan znakomitych, znajomych Maryi, w tej usłudze zastąpionym będzie. Przewodnicy, ludzie służący i zapasy do tej podróży potrzebne, wszystko było przygotowane i zamówione przez niego, tak dalece, iż nazajutrz podróż niezawodnie nastąpić miała.

Już wszystko tchnęło życiem i świeżością w dolinie; rozlegały się wesołe pienia ptastwa świeży poranek witającego; ryk i odgłos ligawek pasterskich rozlegał się po okolicy i samotne echa po skałach budził; snuli się wieśniacy po polach i łąkach, jedni pruli żyzną ziemię, i świeżą skibą zroszone jeszcze pokrywali odłogi, drudzy rozpościerali po zielonych niwach ze stron obudwóch szumiącego strumienia długie pasma bielącego się płótna. Lecz jeźliś odwrócił oko od tej życiem i pracą przepełnionej doliny i wzniósł je ku niebu, spostrzegłeś martwe głazy w niezmiennej postaci, jakby znamieniem wiecznej śmierci naznaczone, a na nich, zamiast pogodnego promienia, który dolinie przyświecał, mgłę ciężką i pasmo przebiegających obłoków, kryjące szczyt najwyższy, którego oko napróżno między niemi szukało. Taka była postać całej okolicy, gdy Marya z towarzyszkami swemi u stóp najwyższej z gór olbrzymich stanęła. Ten posępny widok miejsca, do którego podróż zmierzała, odstraszał nie tylko niewiasty, lecz i dworzan, którzy ją podjąć mieli; ale Marya najżywszą pałała chęcią dojścia tam, gdzie teraz jej oko przed obłokami dosięgnąć nie mogło. Wyprzedziwszy wszystkich biegła naprzód śmiało pod górę i nie chciała pozwolić na to, ażeby ją miejscowi przewodnicy równie jak jej towarzyszki wnosili. Godziny upływały na tej znojnej podróży a jeszcze jej cel był daleki. Po kilku spoczynkach i posileniu się zapasami w drogę wziętemi, gdy już słońce połowę swojej dziennej mety przebyło, stanęli wszyscy dopiero u stóp właściwej kopy śnieżnej, to jest w tem miejscu, gdzie przyrodzenie odmawia swojej pomocy nasionom z niżej położonych lasów przeniesionym, ażeby się we wzniosłe drzewa z czasem zamienić mogły.

Ogromny kopiec, jakby ręką ludzką z kamieni usypany, stał przed nimi ścieszką tylko z pasmem gór olbrzymich połączony. O szczyt jego kończaty roztrącały się lekkie chmury, jak dym z jesiennego ogniska, który w polocie na blizkie drzewo trafia. Wązka ścieszka po ruchomych kamieniach na samym grzbiecie góry ledwo co wyżej znaczna, przepaści z obojej strony, smutny widok osierociałego poniekąd przyrodzenia, nic nie zdołało odstręczyć Maryi od dokonania pielgrzymki, której z nią towarzyszące jej panny dworskie dzielić nie chciały. Jeżeli ciekawość pobudzała ją do tego, najżywsze uniesienia i nieznane jakieś wyższości uczucie przejęło jej duszę, gdy po znojnej drodze na najwyższym szczycie gór olbrzymich stanęła.

Jakże ogromna była ta przestrzeń, którą jednym rzutem oka objąć mogła! Jak drobne i niedościgłe prawie owe wzniosłe na poziomie budowy, w których się duma ludzka rozpościera? Po przetrwaniu znojnej podróży stanęła na miejscu, gdzie ją już żaden przedział od najwyższej strefy nie oddzielał. Obłoki miała pod nogami, mijały one ją szybko cień na padoły rzucając, gdy oko jej czysty tylko błękit niebios widziało, i tę nieprzejrzaną przestrzeń, w której człowiek zawsze nadziei i pociechy szuka. Z jednego miejsca sięgała okiem poza granicę Polski, i całe niemal Czechy jednem ogarniała spojrzeniem; zdawało jej się widzieć hołdujące sobie ludy na tej rozległej przestrzeni osiadłe, mniemała że je obejmuje wzrokiem, podobnie

jak dobrotliwy monarcha wejrzeniem ojcowskiej troskliwości na lud swój pogląda.

Nigdy jeszcze widok piękności przyrodzenia tak wzniosłych w sercu Maryi uczuć nie był wzniecił. W zachwyceniu upatrywała styczność ze swojem przeznaczeniem tego wszystkiego, cokolwiek ją otaczało. Po wytrwaniu w śmiałem przedsięwzięciu, po zniesieniu trudów znojnej podróży, stanęła teraz, gdzie inni wzrokiem ledwo sięgnąć się ważą; stanęła bez żadnego niebezpieczeństwa, dla tego tylko, że miała odwagę wytrwać w postanowieniu swojem, i używała rozkoszy czystego nieba i zachwycających zewsząd widoków. Najpiękniejsze marzenia snuły się po umyśle wyobrażeniem wielkości upojonym; uniesienie malowało się na jej twarzy i przeczucie oczekiwanego szczęścia jasną łzą radości żywe jej oko zmoczyło. Długo zatopiona w głębokiem dumaniu nie mogła się oderwać od widoku, jaki miała przed sobą, aż ją towarzyszący jej ludzie ostrzegli, iż czas było wrócić do osób, które na nię u stóp góry czekały.

Gdy do nich wróciła, zastała przygotowanie do obiadu, który za staraniem nieobecnego Mondora w rozmaite, wykwintne nawet zasiłki był opatrzony. Wśród lasu, w miejscu nieco otwartem, bardzo wzniosłem nad poziom lecz niższem daleko od kopy śnieżnej, rozbito namiot, pod którym zastawiony był stół, tak, iż siedzący przy nim otwartem namiotu na sam grzbiet pasma gór olbrzymich i na jezioro tuż przy szczycie tej góry będące patrzeć mogli. Marya zbyt mocno jeszcze była zajęta wrażeniem, które te nowe widoki na jej umyśle czyniły, ażeby lekkomyślną wesołość swych towarzyszek dzielić, lub na to, co wszyscy obecni mówili, zważać mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISZPANKA

CZYLI

ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

POWIEŚĆ.

P. P. W. Hr. Rozdr.........

(Ciąg dalszy.)

Miała bardzo piękne czarne włosy; napróżno się oglądała za jakiem narzędziem, za pomocą którego mogłaby się ich pozbyć. Nie traciła jednak odwagi.

— Dalej do dzieła — rzekła — rzucę się na łożę zanim ty odejdziesz. Nikt tego nie obaczy. Chociaż później spostrzegą, będzie już zapóźno. Żwawo, naprzód! A posłuchaj mnie tylko.

Żandarm, który mnie przyprowadził, zaprowadzi cię prostą drogą po schodach na podwórze, aż do bramy mostowej. Spotkasz wszędzie mało ludzi i mało ujrzysz światła. Będzie do ciebie mówił po francuzku i w tymże języku będziesz mu odpowiadał. Przy bramie mostowej napotkasz starego Joachima, który cię zaprowadzi do powozu, co czeka na ciebie o dziesięć minut drogi za miastem. O milę dalej znaj-

dziesz inny powóz, a w półtorej godziny będziesz bezpiecznym.

— A dzieci? — zapytał więzień.

— Dzieci są w hotelu pod dozorem. Anna ci je jutro przywiezie.

— A ty, moja biedna Joanno?

— Ja jestem w ręku Boga. Oby tylko tobie dopomógł.

— O szlachetna, wzniosła niewiasto!

— Jużeśmy skończyli, Karolu. Już też czas nam wyznaczony przeminął. Mam tylko jeszcze dwa słowa do wyrzeczenia.

— Wymów je, Joanno!

— Ona ociągała je jeszcze — zdobyła się wreszcie na wypowiedzenie tego, co chciała wypowiedzieć.

— Karolu! jesteś mężem silnego ducha: nie obawiasz się śmierci nawet z ręki kata:

— Nie obawiam się! taka śmierć jest dla mnie śmiercią honorową.

— Tak jest, wiedziałam o tem. Mam pewną nadzieję, że uwolnienie twoje się uda. Ale czyż możemy przewidzieć, że już za kilka minut nieszczęśliwy jaki wypadek w drogę nam nie wnidzie i całego dzieła nie zniweczy? Wtenczas mogłaby nadejść dla ciebie chwila, gdziebyś śmierć inną przeniósł nad śmierć na rusztowaniu. Na ten przypadek znajdziesz w kieszeni mej sukni truciznę. A teraz bądź zdrów! Już pukają do drzwi. Jest to znak, że mamy się rozłączyć.

Ścisnęła go mocno za rękę. I najsilniejszy mężczyzna nie mógłby był okazać takiej odwagi, jaka ją w tej chwili ożywiała. Uwięziony nie był już zdolnym wymówić i słowa. Opanowało go uczucie, że jest słabszym, niższym od szlachetnej kobiety.

Pukanie we drzwi powtórzyło się.

— Możesz pan wniść — odezwała się hrabina. I w tym momencie rzuciła się na tapczan, a twarz chustką od nosa zakryła.

Żandarm z dwoma dozórcami weszli do pokoju. Wszyscy trzej rzucili naokół przenikliwym wzrokiem. Ujrzeli więźnia na tapczanie: tak jak go byli zostawili przed dziesięciu minutami. Miał na sobie te same szare spodnie, te same ciężkie, niezgrabne buty, krótką szarą kurtkę i niebieską płócienną chustę na szyi. Twarz miał zasłoniętą żółtą chustką od nosa. Wszystko to należało do ubioru uwięzionego. Czyż można się było dziwić, że w tak bolesnej chwili twarz miał zakrytą? Przy drzwiach stała dama, również tak samo, jak ją zostawiono: w czarnej krepowej sukni, w szalu z czarnego sukna, na twarzy czarny gruby welon. Była pochylona. Czyż dziw, że nie stała prosto? Widzieli to obydwaj dozórcy, widział i grzeczny francuzki żandarm.

— Chódź Pani! — rzekł miłosiernie.

— Dama zakryta welonem poszła naprzód, a on za nią opuścił celę. Jeden z dozorców zamknął za niemi drzwi.

Żona skazańca została w celi sama z dwoma dozorcami. Serce biło jej tak głośno, że się obawiała, aby się nie zdradzić. Ale potrafiła nakazać mu posłuszeństwo. Słuchała z natężoną uwagą. Słyszała kroki żandarma i męża, jak się oddalili: na ganku koło celi, na schodach, na drugim ganku, potem na drugich schodach, potem ucichło i nic więcej już nie słyszała.

W całym budynku zapanowała głęboka cisza; tak samo i w „celi umarłych". Jeden z dozorców wziął się znów do czytania. Drugi, rzuciwszy wzrokiem na łoże więźnia i przekonawszy się, że spokojnie spoczywa, zdawał się niezdecydowany, czy ma znowu fajkę zapalić, czy też wyciągnąć się na ławce na spoczynek.

Kobieta na tapczanie modliła się. Modliła się ustami zeschłemi od okropnego strachu i od natężenia, — sercem przepełnionem najgorętszą prośbą, jaka kiedykolwiek ku Panu Niebios się wznosiła.

— Boże Przedwieczny, miej go w świętej Swej opiece!

W tem cisza grobowa panująć w około została przerwaną. Dały się słyszeć kroki idących po schodach do góry.

Były to kroki dwóch osób.

Serce biednej kobiety ścisnęło się przestrachem. Kroki posuwały się powoli, spokojnie, jak gdyby mierzone. Kobieta odetchnęła. Może też to było co innego!...

— Ale nie; już weszli na górę, słychać ich już na korytarzu; już doszli i stanęli przed drzwiami celi.

— Wszechmocny Boże, — czy nie masz już nad nami litości?

Zapukano do drzwi.

— Otworzyć! — rozległ się głos żandarma.

— Już teraz po wszystkiem, całe poświęcenie za nic.

Tak myślała kobieta i śmiertelnym dręczona niepokojem chciała zeskoczyć z tapczanu; ale siły jej nie dopisały: cała zdrętwiała i ruszyć się nie mogła. Chciała głośno krzyknąć, zdawało jej się bowiem, że musi umierać, jeżeli okropnego przestrachu na zewnątrz z siebie nie objawi; ale głos zamarł jej na ustach, nie mogła wydać nawet i jęku.

Drzwi się otworzyły i żandarm wszedł do celi; za nim więzień w sukni żałobnej nieszczęśliwej kobiety, która teraz już niewątpliwie stawała się wdową.

Żandarm wyglądał spokojnie, ale bardzo poważnie.

— Opuście nas na dziesięć minut! — zawołał rozkazującym tonem do dozorców. Zaraz wyszli. Żandarm zwrócił się teraz do hrabiny.

— Pani! — rzekł — Pani nie znałaś francuzkiego żandarma. Mógłem być ludzkim, ale obowiązku swego zapomnieć nie mógłem. Na dole, gdybyśmy byli sami, musiałem się przekonać: kogo wyprowadzam i łatwo odkryłem, co odkryć było moją powinnością. Przeklinam tę moję powinność, ale pełnić ją muszę. Nadto chodziło tu o moję głowę. Ale ja Pani przebaczam, szanuję wielką jej boleść, uwielbiam jej wzniosłe serce. Przemień Pani napowrót z mężem ubranie; ja się tymczasem odwrócę. Panią potem z więzienia wyprowadzę, i jak teraz nikt nie wie o tem, co się stało, tak liczę na Pańską szlachetność, że to pozostanie głęboką tajemnicą.

I obrócił się. O, jak ten francuzki żandarm zawstydzał Hiszpanów, co u Francuzów służyli!...

Małżonkowie musieli po drugi raz ubranie swe przemienić. Z jakiemże odmiennem — teraz, a dawniej! Mężna kobieta nie traciła jeszcze nadziei. Wydobyła z kieszeni sukni coś małego w formie bardzo ozdobnego igielnika i dała to mężowi.

— Trucizna! — szepnęła ledwo dosłyszanym głosem, lecz nie używaj jej wpierw, aż się ze mną nie zobaczysz. A miej nadzieję!

Skończyli przebranie; hrabina jeszcze raz męża ucałowała i rzekła do żandarma:

— Jestem gotowa; a teraz mam prośbę do pana: abyś mi „przebaczył."

— Pani! przebaczyłem już dawno — odpowiedział — i opuścili razem celą.

W milczeniu wracała tą samą drogą, którą przed pół godziną była przyszła, którą więzień miał iść, a którą ledwo zdołał dobiedz do jej połowy.

— Przy bramie złączyła się najnieszczęśliwsza z kobiet ze starym wiernym sługą. Przeszli oboje przez bramę. Brama się za nimi zamknęła, i stali sami na moście.

— Wszystko było daremne, Joachimie!

Na placu z tyłu doszły naraz ich uszu uderzenia siekier i młotków. Księżyc wyjrzał tymczasem z pod chmur i zobaczyli na wzgórzu wolnego miejsca, tam gdzie łoskot siekier i huk młotków się rozlegał, wysokie rusztowanie.

ROZDZIAŁ V.

Rabunek.

Hrabina stanęła zamyślona na moście. W niemem przerażeniu przypatrywała się rusztowaniu i przysłuchiwała łoskotowi, jaki to budowanie sprawiało. Ale przerażenie to prędko przeminęło i pobudziło siły jej duszy do nowego działania; bo postanowiła postępować dalej po raz wytkniętej drodze i walczyć do ostatka!

— Chódźmy tam, Joachimie!

— Wielmożna Pani! — czy Pani wiesz co tam jest?

— Wiem — szafot. Muszę tam iść, gdzie mój Karól po raz ostatni będzie myślał o mnie i o swoich dzieciach.

— Czemu zadawać sobie takie męczarnie.

— Mam jeszcze co innego na myśli, dobry Joachimie. Chódź za mną. Dwa plany mi się nie udały; odważę się jeszcze na trzeci. A pomysłu do planu tego nie gdzieindziej, tylko tam szukać trzeba. Tam najprędzej przyjść może natchnienie.

— Wielmożna Pani! — cóż zamyślasz robić?

— Nic jeszcze nie wiem; tam dopiero coś postanowię.

Weszli na wolny plac, postępując w kierunku rusztowania. Było już późno. Jedenasta godzina wybiła; plac był ogołocony z ludzi. Na drugi dzień bardzo rychło miała być egzekucya, więc nie chcieli się spóźnić na widowisko. Wędrowcy nasi nikogo na placu nie spotkawszy, zbliżyli się do rusztowania. Było już gotowem. Tylko trzech ludzi było u góry zatrudnionych. Zabijali jeszcze kilka gwoździ, aby wszystko było mocno. Na dole stał posterunek.

Nareszcie ci trzej ludzie, ukończywszy robotę i zszedłszy z rusztowania, z dołu się dziełu swemu przypatrywali.

— Zarobiliśmy ładne pieniądze.

Dawniej za starych królów to tylko kat i jego pomocnicy mieli prawo budowania szafotu.

— Tak, Francuzi wiele dobrego przynieśli do kraju.

To były myśli tych ludzi; o tym, że oni, Hiszpanie, najmowali się u Francuzów do haniebnej krwawej posługi przeciw Hiszpanowi, o tem nie myśleli. — Myśleli tylko o zapłacie za tęż posługę.

Ludzie odeszli; został szyldwach sam w dumaniach pogrążony, jak to w ogóle szyldwachy dumać zwykli. Przy pustem rusztowaniu o północy, pewno nie bardzo przyjemnemi bawił się marzeniami.

Szyldwach spostrzegł dwoje ludzi, którzy się byli zbliżyli, ale nie kazał im odejść. Cieszył się pewnie, że nie był sam. Żona skazańca mogła sobie dokładnie obejrzeć rusztowanie. Była to czworoboczna budowa z bali i desek. Wschody o siedmiu stopniach prowadziły do góry. Były tak szerokie, że troje ludzi koło siebie mogło iść niemi. Na te wschody miał na drugi dzień rano wstąpić jej mąż — przy boku kapłana, który go na śmierć poprowadzi, jeżeli mu dobrodziejstwo to wyświadczą, (bo uważano to za dobrodziejstwo); w przeciwnym razie wsparty na pomocnika katowskiego ramieniu, jeżeli sam niem nie wzgardzi.

— O! z pewnością wzgardzi — pomyślała kobieta i zarumieniła się cała, przejęta gniewem szlachetnym.

U góry w środku znajdował się okrągły przedmiot. Na nim oko biednej kobiety zatrzymać się dłużej nie mogło. Był to pieniek, na którym tracony miał wyzionąć ostatnie tchnienie. Na pieńku tym położy głowę; topór kata podniesie się — zabłyśnie w powietrzu i — głowa spadnie.

Hrabina musiała wesprzeć się na ramieniu strzelca, aby nie upaść.

— Wielmożna Pani! — wracajmy.

— Nie, nie; lecz cofnijmy się o parę kroków. Mam się o coś zapytać. Joachimie! czyś ty był już kiedy przy traceniu?

— Czemu Wielmożna Pani o to pyta?

— Odpowiadaj!

— Byłem raz.

— Opowiedz, jak to było?

— Pani! — już na samo wspomnienie serce mi się ściska.

— Dalej, mów: czy ze straconym jadą na plac egzekucyi?

— Wiozą go w zamkniętym powozie.

— Kto siedzi w tym powozie?

— Dwóch żandarmów i duchowny.

— Gdzie on wysiada? — czy tam przy schodach?

— Niezupełnie; przy schodach stoi stół, przy którym siedzi sędzia. Przy tym stole go wysadzają, poczem sędzia czyta mu wyrok śmierci głośno, tak, aby wszyscy słyszeli. Potem dopiero oddają go katowi. Ten....

— Pozwól tylko, przybliżmy się znów do rusztowania.

Poszli bliżej.

— Aż tu dotąd mniej więcej powóz zajedzie?

— Tak, tu dotąd, dziesięć kroków przed schodami.

— A jak daleko wolno widzom przystąpić?

— Niektórzy cisną się aż do samego powozu.

— Czy są tam żandarmi?

— Wojsko tworzy koło; wewnątrz tego koła zatrzymuje się powóz, a żandarmi i żołnierze otaczają go.

Zamyśliła się:

— Tak by więc nie szło!

Duch jej pracował z tem większem natężeniem. Zatopiła się cała w myślach i coś sobie przypominała.

Naraz się porwała.

— Ale tak musi się udać! Joachimie! — chodźmy do domu.

Rzuciła jeszcze raz wzrokiem na rusztowa-

nie, na schody i całe otoczenie; potem się odwróciła i szybkim krokiem podążyła ku miastu. Plan w myśli jej dojrzał.

Plan ten był nowy, ale postanowienie już stare.

— Co Wielmożna Pani ma za zamiary?— zapytał stary strzelec.

— Daj mi pokój, muszę jeszcze pomyśleć.

Wrócili do miasta i doszli do hotelu.

— Joachimie! chodź do mego pokoju.

Dzieci już spały, służąca czuwała przy nich.

Pocałowała śpiące dzieci.

— Będziecie miały znów ojca. Teraz już mnie ani was Bóg nie opuści. O, Panie Niebieski, nie opuszczaj nas!

Twarz jej pokraśniała żywym rumieńcem. Była jak w febrze. W oczach jej błyszczały siła i odwaga.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

CORKA CIESLI.

Podanie indyjskie.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy na pytanie:

— Czy mąż powiedział ci kiedy swoje imię?

Tuliza odpowiedziała przecząco, starucha namówiła ją ażeby tego wymagała jako prawdziwego dowodu miłości.

Tego samego wieczora Tuliza wyłuszczyła swoje żądanie i upierała się przy niem daleko bardzo niż przy poprzednich. Napróżno mąż silił się wytłomaczyć jej nierozsądność tego życzenia; nakoniec zabrakło mu cierpliwości rzekł do niej.

— Jeżeli trwać będziesz w uporze i żądać odemnie tego dowodu zaufania, to będę zmuszonym przez wyższą potęgę ustąpić twemu przewidzeniu: ale ostrzegam cię i zapowiadam że wiadomość ta zgubną będzie dla twego szczęścia: znajdziesz się napowrót w stanie poprzednio cierpianej nędzy, a oprócz tego prześladować cię będą wyrzuty sumienia.

Pomimo tego oświadczenia, pomimo prośb serdecznych męża, Tuliza trwała ciągle w swoim uporze zaciętym i żądała dowiedzieć się jego imienia.

Widząc że nic nie pomoże:

— Dobrze, — rzekł, — niechże tak będzie, lecz tutaj uczynić tego nie mogę.

Wyprowadził więc Tulizę z pałaca aż na brzeg rzeki, stanął nad wodą i zapytał mocno wzruszony:

— Czy trwasz ciągle przy swojem? Chcesz jeszcze wiedzieć moje imię? Masz jeszcze czas cofnięcia twego żądania....

Tuliza, pobudzona niepokonaną chętką i bez względu na skutki, odrzekła:

— Chcę je wiedzieć!

Wtedy mąż wszedł głębiej w wodę, aż po kolana, i powtórzył prośbę aby zaniechała żądania, lecz Tuliza nie odstąpiła od swego. Podczas gdy ona mówiła, mąż zanurzył się w wodę bardziej, tak że tylko głowę i ramiona widać było i znowu zaczął ją zaklinać najczulszemi wyrazami, ażeby poprzestała na jego zapewnieniach miłości i szacunku a dała pokój żądaniu, które-

go spełnienie opłakiwać będzie przez całe życie. Następnie po raz trzeci powtórzył to samo zapytanie, a gdy opuszczona przez swego dobrego anioła odpowiedziała również „chcę wiedzieć” wtedy wykrzyknął:

— Moje imię jest — Basnak-Dau!

Wtej samej chwili na powierzchni wody ukazała się głowa węża, rzuciła spojrzenie straszliwe na ograniczoną i upartą kobietę i znikła w rzece, w której przepadł również jej mąż kochany.

I oto ujrzała się Tuliza sama jedna w łachmanach, które kiedyś nosiła i napróżno szukała pięknego pałacu. Wszystkie ścieszki, któremi się puszczała prowadziły ją do dawnego mieszkania, do rodzinnej starej, rozwalonej chaty, wyglądającej teraz jeszcze nędzniej niż dawniej. Rodzice znajdowali się w chacie, bez chleba jak dawniej, a odzwyczajeni od pracy przez czas dobrobytu i niezdolni do żadnego wysiłku. Cały więc ciężar utrzymania domu spadł na Tulizę. Musiała prócz tego znosić skargi i wyrzuty rodziców, które były tem przykrzejsze, że słuszne. Lecz to nie wszystko; teraz, kiedy wiedziała że na zawsze jest rozdzieloną ze swoim mężem jej miłość ku niemu wzrosła do potęgi jakiej przed tem nigdy nie miała, a w duszy wstydzić się musiała tego uczucia dla istoty, której wielką dobroć tak niewdzięcznie sponiewierała. Dawny sposób życia stawał się dla niej codzień uciążliwszym; zamiast troszczyć się o gospodarstwo w domu, spędzała czas na szukaniu studni, której nigdzie śladu odkryć nie mogła. Niegdyś, pomimo niedostatku i trudów, w chacie panowały przynajmniej pokój i zgoda; po ukończeniu roboty porannej Tuliza mogła przynajmniej oddać się całkiem marzeniom: teraz nie miała ani chwili spoczynku, ani chwili wolnej od ucisku nędzy. Od rana do wieczora rodzice złorzeczyli losowi, a nawet w nocy budzili ją ze snu swemi jękami i krzykami. Tuliza nie mogła pocieszać, nie miała sposobu ulżenia ich biedzie i byłaby się niezawodnie rzuciła w staw sąsiedni, gdyby jej od tego nie była powstrzymała obawa że rodzice, bez jej pomocy, pomrą z głodu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

I weszli do domu. Rzeczywiście zastali tam księdza Wojciecha i nauczyciela, którzy przybyli pożegnać i odprowadzić w drogę ulubieńca swego Kazimierza, którego kochali jak syna.

Ksiądz Wojciech, od czasu, jak po pierwszy raz się z nim poznaliśmy w imieniny ojca Stefana, znacznie się był zestarzał, a włos jego wówczas siwiejący, zbielał zupełnie jak śnieg, co jeszcze więcej mu nadawało powagi i tym większy dla niego budziło szacunek. Ale mimo sędziwą starość, zachowywał zawsze dawną swą

wesołość; jak dawniej tak i teraz umiał trafiać wszędzie, gdzie był smutek i płacz a gdzie się pojawił, to jeśli nie rozśmieszył, to pewno pocieszył. Był to anioł pocieszyciel wszystkich nieszczęśliwych; to też z największą czcią i radością wszędzie go przyjmowano, i za największe szczęście sobie poczytywano, gdzie próg domu przestąpił!

Wszedłszy tedy do izby, a widząc zapłakane oczy matki i Jadwisi, zawołał pocieszając je:

— Ej! po co to matko te smutki i płacze? Wyprawiliśmy Kazimierza parę lat temu do Warszawy znacznie młodszego, i jakoś nam nie łzy powrócił. Teraz starszego wyprawiamy, zaręczam wam, że jeszcze lepszy powróci; a ja zawsze mam w Bogu nadzieję, że chociaż drżą mi już ręce ze starości, doczekam się jeszcze tej pociechy, że za waszem błogosławieństwem, będę mu dawał ślub w naszym kościołku. A zwracając się potem do Kazimierza, dodał:

— No Kazimierzu, bierz tłomoczek na plecy, laskę w rękę i chodźmy, bo im dłuższe pożegnanie, tem trudniejsze rozstanie, a co się stać musi niech się stanie prędko! Pani Stefanowa! ja z wami pójdę, chodźmy!

Zabrali się tedy wszyscy milcząc; Kazimierz obejrzał raz jeszcze drogie ściany i sprzęty domu rodzinnego, pożegnał płaczącą za nim czeladkę, i wszyscy wyszli na ulicę.

A było to już blizko południa. Słońce wspaniale toczyło się po niebiesiech, majowa trawka rozwijała miłą woń po całej okolicy, Wisła cicha drugie słońce i drugie niebo w sobie odbijała, kwiaty na łąkach w ciemnawej barwie kołysały główki, jakby żegnały odchodzącego Kazimierza.

I tak szli wszyscy milcząc obok siebie, a nawet ksiądz Wojciech, który w podobnych chwilach umiał rozweselić i pocieszyć, nie bardzo teraz wyglądał wesoło, i nie śmiał przerywać milczenia. Gdy minęli figurę, i przyszli na zakręt drogi, rzekł ksiądz Wojciech do Kazimierza:

— Nam czas wracać; niech cię Pan Bóg dalej prowadzi! Idź z Bogiem, a wracaj nam zdrów do zagrody ojczystej! — uścisnął i pożegnał go.

Kazimierz rzucił się potem do nóg rodzicom, oblał je łzami, ucałował im ręce, uścisnął rodzinę, przeżegnał się, i puścił się w drogę. Rodzice dawszy mu jeszcze krzyżyk na drogę, postali chwilkę patrząc za nim, jeszcze raz z dala zawołali za nim, życząc mu szczęśliwej podróży i nawrócili ku domowi.

Kazimierz szedł prędko, jakby się obawiał, żeby go co nie wstrzymało w biegu i nie cofnęło do domu. W tej chwili słońce wynurzywszy się z po za chmurki, całym blaskiem oświeciło rodzinne jego miasteczko; na górce błyszczał świecący dach kościółka i bieliła się jego wieżyczka ze znakiem Zbawiciela. I patrzał Kazimierz długo wytężonem okiem, roztworzył ręce, jakby chciał objąć w uścisku swój dom i mieścinę rodzinną i zawołał:

— O Boże mój! Czyż ujrzę jeszcze kiedy to gniazdo moje rodzinne!?

W tem rozległ się dźwięk dzwonu z kościółka; głos jego roztaczał się po błoniach, płynął po falach Wisły, leciał ku Niebu.

Było to na ,,Anioł Pański".

Padł Kazimierz na kolana i szczerze, gorąco pomodlił się do Panny Najświętszej, a pokrzepiony na duchu i spokojniejszy ruszył w dalszą drogę.

Właśnie w tej chwili i rodzice jego przechodzili koło figury św. Antoniego; dźwięk dzwonu doleciał ich uszu, a ksiądz Wojciech rzekł:

— Dobry to znowu znak, że modlitwa spotyka nas i jego w drodze. — I zaczął głośno ,,Anioł Pański", a całe towarzystwo za nim się modliło.

XI.

Podróż.

Z domu puścił się Kazimierz do Krakowa, gdzie kilka dni się zatrzymał, aby zwiedzić liczne pamiątki tu nagromadzone. Bo też zaiste, jeśli gdzie to w Krakowie największa obfitość najrozmaitszych pamiątek z dawnych polskich lepszych czasów. Warszawa wprawdzie największem jest i najpiękniejszem miastem całej Polski, ale za to Kraków najpoważniejszem i naj-

świętszem. Gdzie się obrócisz, oko twoje spotka się z jaką dawną pamiątką, która ci przypomni świetny jaki wypadek, albo sławnego jakiego rycerza.

Tuż nad samą Wisłą wznosi się góra Wawel, w której to, jak wam pewnie wiadomo, miał mieszkać ogromny a żarłoczny smok, co go to dzielny Krakus podstępem zabił, i tem na wieki imię swoje wsławił. Na tej górze Wawelu wznosi się wielki, obszerny i wspaniały niegdyś zamek dawnych królów Polskich, — dziś niestety, odarty ze swych ozdób, i zamieniony na koszary dla wojska i na więzienia zbrodniarzy! Gorzkiemi łzawi zalał się biedny Kazimierz, patrząc na tę smutną przemianę dawnej wspaniałości polskiej!

Z zamkiem królewskim styka się katedra, w której znajdują się grobowce i pomniki wszystkich prawie królów i wielu bohaterów polskich: bo nim królowie stolicę swą przenieśli do Warszawy, rezydowali zawsze w Krakowie, i tu też w najbliższej zamku katedrze kości swe składali na wieczny odpoczynek. Do największych osobliwości tego kościoła należy kaplica Świętego Stanisława, wznosząca się w samym środku, w której złożone jest ciało tegoż Świętego Patrona królestwa Polskiego w srebrnej trumnie. Przy tej kaplicy zatknięta była chorągiew przez Jana Sobieskiego pod Wiedniem na Turkach zdobyta: świadectwo dawnej chwały oręża Polskiego. W wieży tegoż kościoła zawieszony jest dzwon, któremu na imię Zygmunt od tego, że król Zygmunt Pierwszy, król Polski, kazał go ulać, a już to temu więcej niż trzysta lat. Jest to dzwon największy na całą Polskę, a taki ogromny, że go wcale ruszyć nie można, tylko za serce kilku ludzi linami ciągnie i tak dzwoni. A głos jego taki potężny, że aż ziemia drży i na kilka mil w koło dosłyszeć go można, a taki poważny i miły przytem, że jak w niego zadzwonią, to aż serca wszystkich poruszy i zdaje się jakoby sam Pan Bóg z nieba ludzi do modlitwy wzywał. Ale też tylko w większe święta i uroczystości w niego się dzwoni.

Idąc od zamku wciąż brzegiem Wisły, przychodzi się do kościoła Świętego Stanisława na Skałce. W tem samem miejscu, gdzie stoi ten kościół, była dawnemi czasy kaplica Świętego Michała, słynna w całej Polsce z tego, że tu właśnie król Bolesław Śmiały bezbożną ręką zamordował przy ołtarzu świętego Biskupa Stanisława Szczepanowskiego za to, że się ujmował za uciśnionym ludem i napędzał króla do pokuty i poprawy.

Ze Skałki znów widać dobrze jak na dłoni wysoką niby górę jaką, mogiłę Kościuszki, ostatni obrońca niepodległej Polski przeciw najeźdzcom, umarł na wygnaniu w obcej ziemi, ziomkowie jego chcąc przynajmniej po śmierci złożyć jego zwłoki na ziemi ojczystej, sprowadzili je z zagranicy, zwieźli do Krakowa i pochowali w Katedrze obok swoich królów. Ale serce jego, które tak żywo zawsze biło dla ojczyzny i wiary świętej, wyjęto i postanowiono osobno uczcić taką mogiłą, jakiej jeszcze nikomu na świecie nie usypano. I oto co tylko żyło a czuło w sobie krew Polską, wzięło się do sypania tej mogiły. Panowie z całego kraju przybyli, znosili ziemię w czapkach i kapeluszach, panie w chustkach i fartuszkach, wieśniacy w połach od sukmany, inni w koszach nosili, inni taczkowali, — i tak usypali ogromną mogiłę, jakby górę jaką, która na wieczne czasy będzie pamiątką, jak to Polacy umieją uczcić tych, co się poświęcają za ojczyznę.

Niedaleko ztamtąd widać inną mogiłę, — jest to mogiła Wandy, tej samej Wandy księżniczki Polskiej, której imię w całej Polsce słynie z tego, że wolała skoczyć w Wisłę i utopić się, niż pójść za Niemca, który gwałtem o rękę jej się starał.

Ale pożegnajmy teraz na chwilę uroczą okolicę Krakowa z jej mogiłami i pamiątkami, a wróćmy do samego miasta, gdzie nasz Kazimierz jeszcze wiele rzeczy miał do oglądania. Tu ściągnęły na siebie jego uwagę najprzód poważne mury Akademii Krakowskiej, nazywanej zwyczajnie Akademią Jagiellońską, co tylu sławnych i uczonych Polsce wychowała ludzi! A nazywa się Jagiellońską od tego, że ją ufundował dzielny król Jagiełło na prośbę swej żony, królowej Jadwigi, której imię do dziś dnia jeszcze cały naród Polski uwielbia dla jej dobroci i mądrości.

A co za kościoły piękne i wspaniałe podziwiał Kazimierz! a takie ich mnóztwo, że jak z daleka patrzał na Kraków, i widział te setki wieżyc sterczących ku Niebu, to mu się zdawało, jakby w Krakowie nie było domów, ale same tylko kościoły. Tacy to pobożni byli nasi przodkowie, tak to dbali o chwałę Bożą!

I wszystkie te pamiątki, te kościoły, te zamki, tę akademią, te mogiły, te grobowce chciwie oglądał Kazimierz, a patrząc na te ślady dawnej wielkości naszej Polski, nieraz głęboko sobie westchnął i zapłakał: bo trudno wstrzymać się od łez, kiedy człowiek patrzy na to, czem była dawniej kochana nasza ziemia, a czem jest dziś!

Zwiedziwszy tak wszystko, co tylko zwiedzić się dało, z ciężkiem sercem pożegnał tę dawną stolicę Polski, która dziś wygląda raczej na wielki grobowiec Polski; a tym ciężej i żałośniej mu było na sercu, że wkrótce miał wstąpić na obcą ziemię i rozstać się na Bóg wie jak długi czas z tą ziemią ojczystą, której dotychczas nigdy jeszcze nie był opuszczał. Otóż te Karpaty, których sine szczyty już z mogiły Kościuszki mógł był widzieć, to ostatnia granica Polski, — tam za niemi już obca mowa, obce obyczaje, obcy ludzie!

Smutny więc szedł coraz dalej, a oddalając się od Krakowa, na każdem prawie wzgórzu, które przebywał, stawał i oglądał się, przypatrując się jego wieżom, które daleko, daleko jeszcze było widać.

Stanął wreszcie u granicy, — było to na szczycie dosyć wysokiej góry w Karpatach. Tu po jednej stronie rozciąga się przed jego oczyma ziemia polska z swemi wioskami, dworkami, zamkami, z wszystkiem co dla serca jego drogiem i świętem, — a po drugiej stronie widzi już ziemię obcą, węgierską, która przecież nieraz z Polską wspólnych miewała królów.

Tu więc gdy stanął na granicy, tak mu żal serce ścisnął, jak gdyby z rodzoną matką miał się żegnać; — chciał iść dalej, ale jakaś siła nadzwyczajna jakby go do miejsca przykuła, że nie mógł i kroku dalej ruszyć, — aż nareszcie upadł jak długi na ziemię, ucałował ją z rozrzewnieniem, łzami ją swemi zrosił, — a podniósłszy się prędko, zawołał:

— Trudno — kiedy tak być musi, niech się dzieje święta wola Boża! Opuściłem ojca i matkę, porzucę teraz i ciebie, droga Ojczyzno! — Daj Boże, abym do niej znów szczęśliwie powrócił! — a przeżegnawszy się w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, przebył granicę, i już odtąd dążył bez wytchnienia ku swemu najbliższemu celowi, ku Wiedniowi.

Po kilkodniowej szczęśliwej podróży stanął nad szeroką i bystrą rzeką Dunajem u bram Wiednia. Wiedeń, to bardzo wielkie miasto, kilka razy większe nawet od samej Warszawy, i jest to stolica cesarza austryackiego.

— Ale — pomyślał sobie Kazimierz wchodząc do Wiednia, gdyby nie nasz król Jan Sobieski i dzielne polskie rycerstwo, toby pewnie nie cesarz austryacki, ale sułtan turecki dziś w Wiedniu panował.

I prawdę miał Kazimierz, bo już temu przeszło dwieście lat, jak cesarz turecki, czyli jak go tam Turcy nazywają, sułtan, z niezliczonem wojskiem podszedł pod Wiedeń, aby zdobyć to miasto, a potem wiarę chrześciańską wytępić, a swoją mahometańską, pogańską religię wszystkim narodom narzucić. Niemcy jak mogli tak się bronili, ale nie mogli opierać się długo przemocy i każdej chwili lękać się należało, że Turcy miasto zdobędą; cesarz nawet już schronił się gdzieindziej daleko od Wiednia aby w niebezpieczeństwie cesarz i Ojciec święty razem wyprawili posłów do króla polskiego Jana, aby ratował cesarza i wiarę świętą. Jan Sobieski, choć już nie młody i ciężki, zaraz dosiadł konia, zwołał rycerstwo i niezwłocznie wyruszył ku Wiedniowi. Turcy, którym Sobieski już nieraz tęgo się dał we znaki, zadrżeli ze strachu, jak się dowiedzieli, że król Polski idzie na nich, i nie napróżno drżeli. Bo Sobieski jak na nich uderzył z swojem rycerstwem, to od razu rozbił ich cały obóz, wiele tysięcy trupem położył, resztę rozproszył, i tak Wiedeń i chrześciaństwo ocalił. — Jednę z chorągwi zdobytych tu na Turkach, właśnie parę dni temu Kazimierz oglądał w Krakowie, przy grobie Świętego Stanisława na Wawelu.

Więc to do tego samego Wiednia teraz przybył nasz Kazimierz, — a ponieważ przybył nie dla zabawy, ale dla pracy i nauki, więc, wypytał się tam zaraz o najsławniejszego tokarza i najął się u niego za czeladnika.

— A co go w tem niemieckiem mieście najbardziej ucieszyło, i jego tęsknotę za ojczyzną zmniejszyło, to że wiele tam znalazł rodaków i z nimi się zaprzyjaźnił. Uczęszczał też zwykle do kościoła Świętego Ruprechta na nabożeństwo. Mała to i niepokaźna budowa, ale bywały tam kazania polskie, nieszpory polskie z polskim śpiewem, co mu miłą ojczyznę przypominało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIV.

Wojna francuzko-indyańska (1756—1763.)

Przechodzimy teraz do jednego z najgłówniejszych epizodów historyi Stanów Zjednoczonych, znanego w Europie pod nazwą amerykańskiej wojny siedmioletniej, w Ameryce zaś, wojny francuzko-indyańskiej, która była poprzednikiem wielkiej wojny o niepodległość. Pierwsze trzy wojny między-kolonialne powstały ze sporów Francyi z Anglią, czwarta zaś, wskutek której Anglicy uzyskali zwierzchnictwo w Ameryce, z powodu kłótni o granicę pomiędzy koloniami. Anglicy liczący już przeszło milion ludności w koloniach, posiadali całe wybrzeże od Penobscot aż do St. Mary, przestrzeń 1000 milową, na wschodzie gór Allegheny i daleko na północ, aż do rzeki św. Wawrzyńca prawie. Francuzi, liczący tylko 100,000 osadników mieli swe osady nad rzeką św. Wawrzyńca, nad brzegiem wielkich jezior, nad rzeką Mississippi i pobocznemi jej rzekami i nareszcie nad zatoką meksykańską. W r. 1683 założyli miasto Detroit, w r. 1684 Kaskaskia, w 1690 Vincennes i w r. 1717 New Orleans. Anglicy zakładali kolonie rolnicze, Francuzi trudnili się handlem z Indyanami. Wskutek handlu i przez misyonarzy mieli Francuzi wielkie znaczenie u Indyan.

Pomiędzy Francyą i Anglią panował spór od dawna. Nienawiść wzajemną przenieśli także do nowego świata. Kiedy Francuzi po zajęciu Louisburgu przez Anglików w r. 1745 zawarli przymierze z plemionami Shawnee i Delaware, gdy poczęli budować mocne okręty i wybudowali około 60 twierdz pomiędzy Montreal i New Orleans -- zrozumieli Anglicy, że im grozi niebezpieczeństwo. Anglicy rościli sobie pretensye do całego obszaru na południe jeziora Erie i na zachód morza spokojnego. Francuzi zaś twierdzili że mają prawo do całego kraju nad rzeką Mississippi i pobocznemi jej rzekami, ponieważ pierwsi okolice te zbadali i osady tam założyli. O pretensye, czyli raczej prawo Indyan nie troszczono się wcale.

W roku 1749 podarował król Jerzy około 600,000 akrów roli nad rzeką Ohio pewnej kompanii, której także nadał przywilej handlu z Indyanami. Francuzi widząc, że Anglicy im odbierają handel i nadto przecinają drogę komunikacyjną pomiędzy Canadą i Louisianą, poczęli budować twierdze pomiędzy rzeką Allegheny i jeziorem Erie. Kompania uskarzyła się o to u gubernatora Virginii. Ohio bowiem należało wtenczas jeszcze do Virginii. Wice-gubernator Robert Dinwiddi wysłał wskutek tego posła do naczelnika francuzkiego De St. Pierre. Posłem tym był Jerzy Washington, liczący dopiero lat 22 wtenczas, a będący już jeneralnym adjutantem jednego z 4 wojskowych okręgów Virginii. Zabrawszy tylko trzech towarzyszów opuścił w dniu 13 października 1753 Williamsburg i przedarłszy się przez 400 mil dziczyzny, gdzie nieprzyjaźni Indyanie tylko przebywali, przybył do forpocztów francuzkich w Venango w dniu 4 grudnia. Ztamtąd posłano go do jenerała St. Pierre. Ten odpowiedział, że nie cofnie wojska francuzkiego. Washington wrócił w styczniu 1754 do Virginii i zdał sprawę. Gubernator Dinwiddie postanowił urządzić wyprawę przeciw Francuzom i prosił inne kolonie o posiłki, których jednakowoż z wyjątkiem kilku wolontaryuszów, nie uzyskał. W dniu 2 kwietnia 1754 r. wyruszył

Washington na czele oddziału, liczącego 600 ludzi ku rzece Ohio.

Tymczasem wybudowała kompania, o której powyżej mówiliśmy, twierdzę tam, gdzie się rzeki Monongahela i Alleghany schodzą; twierdza ta została zdobytą przez oddział Indyan i Francuzów, którzy ją nazwali Fort Du Quesne. Washington oddalony o 40 mil od tego miejsca tylko, pospieszył z 150 ludźmi, chcąc warownię odbić. Dowiedziawszy się jednak, że silny oddział nieprzyjacielski przeciw niemu dąży, cofnął się i wybudował warownię, którą nazwał Fort Necessity. Nim takową ukończył, napadł jeden z jego oddziałów w nocy na 28 maja na 50 Francuzów, zabił naczelnika ich, Jumonville, i 9 jego ludzi — 15 uciekło, reszta została wzięta w niewolę. Było to pierwsze krwi wylanie w długiej wojnie francuzko-indyańskiej. Villiers, brat Jumonville'a, zebrał tymczasem oddział złożony z 1500 Indyan i Francuzów i zaatakował Washingtona w Fort Necessity. Po dziesięcio godzinnej obronie kapitulował Washington; dozwolono mu opuścić warownię z honorami wojskowemi.

Tymczasem zwołano do Albany konwencyę delegatów wszystkich kolonii, lecz siedm tylko wysłało swych reprezentantów. Tu zostało zawarte przymierze z Indyanami, tak nazwanymi 6 narodami. (Związek wszystkich kolonij nastąpił dopiero w jedenaście lat potem, 1765). Konwencya w Albany ukończyła zaledwie swe prace, gdy Indyanie poczęli pustoszyć osady nad granicą nowo-angielską, a agenci francuzcy starali się nakłonić Indyan na zachód od gór Alleghanów przebywających, do ogólnej wojny przeciw Anglikom. Pomiędzy oficerami wojsk pojedyńczych kolonii powstał tymczasem spór o pierwszeństwo, co widząc Washington podał się do dymisyi. Tak minął rok 1754, a Anglicy nie byli jeszcze przygotowanymi do wojny.

Rok 1755. Spór pomiędzy Anglią i Francyą trwał już 18 miesięcy, nim sobie wypowiedziano wojnę. W dniu 20 lutego 1755 przybył z Irlandyi do Cheasapeake zatoki na czele dwóch pułków Edward Braddock, który został zamianowany naczelnikiem wszystkich wojsk angielskich i kolonialnych w Ameryce. Za jego staraniem urządzono trzy wyprawy: jedną przeciw twierdzy Fort du Quesne, drugą przeciw Frontenac i Niagara a trzecią przeciw Crown Point nad rzeką Champlain. I kolonie nowo-angielskie urządziły w tym czasie wyprawę, która najpierwsza się udała. 3000 ludzi wypłynęło w dniu 20 maja z portu bostońskiego i udało się do zatoki Fundy, gdzie do nich się przyłączyło jeszcze 300 żołnierzy z regularnego wojska. W czerwcu zdobyto z łatwością warownie zdobyte przez Francuzów, a cały kraj nazwany Acadia został w przeciągu miesiąca zupełnie spustoszonym.

Wyprawa zachodnia pod Braddockiem nie przyszła tak szybko do skutku. Dopiero w dniu 10 czerwca 1755 wyruszył na czele 2000 ludzi z Wills Creek (Cumberland). W dniu 9 lipca znajdował się 10 mil tylko od Fort du Quesne, gdzie wpadł w zasadzkę. Oddział jego bronił się jak mógł, lecz daremnie. Wszyscy oficerowie konni z wyjątkiem Washingtona zostali zabici i Braddock śmiertelnie raniony. Jedna część rozbitków pod naczelnictwem Dumbara udała się do Philadelphii, druga pod Washingtonem do Virginii. Tak zakończyła się druga ekspedycya w roku 1755. — Trzecia ekspedycya nie udała się także z powodu burz, chorób i zdrady sprzymierzonych Indyan. Gubernator Shirley wybudował tylko pod Oswego dwie twierdze, w których pozostawił załogi, resztę wojska odesłał do Albany a sam wrócił do Massachusetts.

Czwarta ekspedycya składająca się z 6000 ludzi, z Nowej Anglii, New York i New Jersey pod jen. Johnson wybudowała nad rzeką Hudson, 50 mil od Albany fortecę, nazwaną później Fort Edward. Następnie udał się Johnson nad jezioro George, gdzie się między bagnami rozłożył obozem. Tymczasem przybył z Montreal jenerał Dieskan na czele milicyi kanadyjskiej i Indyan. Johnson wysłał przeciwko niemu pułkownika Ephraima Williams na czele 1000 ludzi, który atoli wpadł w zasadzkę i został zmuszony do ucieczki. Francuzi dumni ze swego zwycięztwa, zaatakowali następnie obóz, zostali atoli tak gorąco przyjęci, że pozostawiając zasoby wszystkie ubiegli do twierdzy Crown Point. Johnson wybudowawszy na miejscu swego obozu twierdzę, którą nazwał Fort Henry, pozostawił w niej, jako i w Fort Edward załogę i rozpuścił w październiku swój oddział.

Rok 1756. Dopiero w roku 1756 podjęły państwa europejskie sprawę swych kolonii w Ameryce. W dniu 27 maja tego roku została wojna wypowiedziana Francyi przez Anglię. Jen. Loudon został zamianowany gubernatorem Virginii i zarazem naczelnikiem sił zbrojnych w koloniach. Przybył w czerwcu do Ameryki. Gubernatorowie kolonialni postanowili tymczasem na konwencyi w Albany wysłać 10,000 żołnierza dla zdobycia twierdzy Crown Point, 6000 do Niagara, 3000 miało postępować ku Fort du Quesne a oddział dwutysięczny miał przebiegać kraj i niszczyć osady francuzkie nad rzeką Chaudiere.

Pierwsza wyprawa nie udała się, gdyż pomiędzy lordem Loudon i jen. Winslow, który nią miał dowodzić, powstał spór o pierwszeństwo naczelnictwa, wskutek czego pochód wojsk angielskich się opóźnił. Montcalm zaś, jenerał francuzki, dowiedziawszy się o niesnaskach między Anglikami, zebrał 5000 Francuzów, Kanadyjczyków i Indyan, a przebywszy jezioro Ontario stanął z 30 armatami przed twierdzą Ontario. Po krótkiej lecz bohaterskiej obronie poddała załoga twierdzę w dniu 12 sierpnia 1756 i cofnęła się na drugą stronę rzeki Oswego, do tam się znajdującej warowni, która się

także musiała poddać w dniu 14 sierpnia. Montcalm zabrał 1400 więźniów wojennych, wiele zapasów broni ręcznej, 134 armaty i kilka okrętów. Zniszczywszy fortece wrócił do Canady. Upadek twierdzy Oswego był straszliwym ciosem dla Anglików. Loudon dowiedziawszy się o tem, cofnął wszystkie wyprawy i wzmocnił tylko załogi nadgranicznych fortec. Anglicy ukarali jednakowoż w tym roku Indyan nad Alleghany rzeką, którzy rabowali i pustoszyli osady nad zachodnią granicą Pennsylvanii i Virginii. Pułkownik John Armstrong napadł w nocy na 8 września na ich główne miasto Kittaning, a kazawszy główniejszych naczelników zastrzelić, spustoszył je zupełnie i podbił całe plemię. Rok 1756 był więc w ogóle nieszczęśliwym dla Anglików. Francuzi bowiem posiadali prawie cały obszar, o który spór się toczył i główniejsze twierdze, wygnali Anglików z Oswego i od jeziora George zmusili „sześć narodów" do zawarcia traktatu.

Rok 1757. Na radzie wojennej w Boston zaproponował jen. Loudon, aby się ograniczono tylko na wyprawie do Louisburgu i obronie granic. Ponieważ był naczelnikiem, zgodzili się i rozsądniejsi mężowie na jego plan. Na czele 6000 ludzi wypłynął w dniu 20 czerwca z New Yorku i wylądował w dniu 30 tego miesiąca w Halifax, gdzie się złączył z admirałem Holborne, który z Anglii przybył ze znaczną flotą i z 5000 żołnierza francuzkiego, zaniechał wyprawy i wrócił do New Yorku w dniu 31 sierpnia.

Francuzki jenerał Montcalm odniósł tymczasem znów znaczne zwycięztwo. Na czele 9000 ludzi (pomiędzy nimi 2000 Indyan) obległ warownię William Henry, której załoga przez sześć dni się mężnie broniła, lecz nareszcie poddała. Montcalm dozwolił jej odejść z honorami wojskowemi, lecz Indyanie napadli na Anglików w lasach, zamordowali wielu z nich i zabrali wszystkie zasoby. Warownia William Henry została spaloną.

Wypadki te wywołały nie tylko niezmierne przerażenie w Anglii, ale i wielkie niezadowolenie w koloniach. Wynikiem tego było, że ministeryum angielskie zostało zdymisyonowane a na czele nowego stanął słynny mąż stanu Pitt, który odwołał jen. Loudon, a naczelnikiem zamianował lorda Abercrombie, i wysłał silną flotę wraz z 12,000 żołnierzami do Ameryki. Lord Abercrombie objąwszy w maju 1758 naczelne dowództwo, znalazł 50,000 żołnierza pod bronią.

Rok 1758. W roku tym podjęto trzy wyprawy: do Louisburgu, Ticonderoga i Fort du Quesne. Pierwszą dowodzili lord Amherst i lord Wolfe, którzy mając 40 okrętów i 20,000 ludzi wylądowali w dniu 8 czerwca nad wybrzeżem zatoki Garbarus, w pobliżu miasta Louisburg. Francuzi poddali się po 50 dniowym oblężeniu, wskutek czego Anglikom dostała się forteca i miasto Louisburg, wyspy Breton i St. John (dzisiaj Prince Edward Island). Przeszło 5000 Francuzów zostało wziętych w niewolę. Przez zwycięztwo to stali się Anglicy panami całego wybrzeża aż do ujścia rzeki św. Wawrzyńca (Saint Lawrence).

Gdy się to działo na zachodzie, udał się Abercrombie na czele 16,000 ludzi do Ticonderoga, gdzie się Montcalm z armią czterytysięczną znajdował. Napad na tę fortecę nie udał się a Abercrombie utraciwszy 2000 ludzi musiał się cofnąć. Tymczasem zdobył inny oddział angielski, na którego czele stał pułkownik Bradstreet, małą fortecę francuzką Frontenac. Na tem zakończyła się ta wyprawa, po wybudowaniu przez Anglików twierdzy Stanwix nad rzeką Mohawk, tam gdzie dziś się znajduje miasteczko Rzym (Rome).

Korpus ekspedycyjny do Fort du Quesne stał pod naczelnictwem jen. Jana Forbes i pułkownika Washington i składał się włącznie Indyan z 9000 ludzi. Jeden oddział pod majorem Grant został pobity przez Francuzów pod pułkownikiem Bosquet. Chciano się już cofnąć, gdy się dowiedziano, iż w Fort du Quesne jest tylko 500 żołnierzy; wojsko kolonialne postępowało więc naprzód, a Francuzi w dniu 24 listopada zapalili twierdzę i ubiegli w łodziach. Forbes pozostawił 450 ludzi do odnowienia i obsadzenia fortecy, a zmieniwszy nazwę jej z Fort du Quesne na Fort Pitt, udał się do leż zimowych.

Francuzi utracili więc w przeciągu r. 1758 trzy z najmocniejszych twierdz i sprzymierzeńców, Indyan, należących do „sześciu narodów".

Rok 1759. Cztery lata upłynęły od rozpoczęcia wojny, a Pitt zadowolony z korzyści otrzymanych w r. 1758, postanowił podbić całą Canadę i w ten sposób zakończyć panowanie francuzkie w Ameryce na zawsze. — Naczelnikiem wojska został zamianowany Amherst. Plan na rok 1759 był następujący: Jen. Wolfe miał z silną flotą i znacznym oddziałem udać się do Quebec; inny oddział pod Amherstem miał wypędzić Francuzów z okolicy jeziora Champlain, zająć Montreal i złączyć się pod Quebec z Wolfe'm. Jen. Prideaux zaś miał zająć twierdzę Niagara i przez jezioro Ontario udać się do Montreal.

(Dalszy ciąg nastąpi).